Tygodnik

16. Stycznia — 3. — 1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!

Krasicki wiersz przedostatni Myszeidy.

NA ŚMIERĆ

Xięcia JÓZEFA PONIATOWSKIEGO. (*)

Jak czarna chmura, kiedy na niebie
Grożnych piorunów głosem zaszumi,
Gdy słońca potęgę tłumi,
I świat w okropnych cieniach zagrzebie,
Gdy ciosem gromów uciska,
A za swym śladem w przechodzie,

(*) Wiersz ten pisany w roku 1813. w G
Wieszcze przeczucia Autora, osobliwie którem
statnim wierszu był natchnięty, spełnił dla na
lepszy Monarcha, przecież i w szczęśliwej chw
mięć nieszczęść i strat wielkich, mile rozrzewn
łego Polaka.

Smutne zostawia zwaliska,
I strach w przelękłym człowieka rodzie. —
Jak Ocean rozhukany,
Zbrojny w olbrzymie bałwany,
Burze na boje wyzywa;
Już rozpiera lodu ściany,
Ciska w niebo gniewne piany,
I dno pod sobą rozrywa.
Potężny siłą natury,
Tłucze nadbrzeżne skały, i w proch je rozmiata,
Dźwiga i toczy piasczyste góry,
Z jednego brzegu, na drugi brzeg świata. —

Równie, lecz w bardziej zagubnej potędze,
Gienijusz wojny, i niezgody jędze,
W świat nieszczęsny uderzyły.
„Wojna bez końca." grzbiet Alpów wysoki,
„Wojna bez końca." Uralu opoki,
W okropnym huku odbiły.

Daremnie Litość żąda zmniejszyć srogość losu,
Ludzie i niebo niesłucha jej głosu.
Patrz jak to bóstwo ziemi,
Jęczy nad dziećmi swojemi,
Patrz jak wstępuje na okropne groby,
Wśród rodzących się trupów, wśród cieniów żałoby,
Ręką którą dosięga Przedwiecznego progu,
W strasznej urnie krew ludzką pokazuje Bogu.
Lecz niebo nieczułe na jęki,
Gromem jej piersi przeszywa,

Pada — upuszcza naczynie z ręki,
I krwią spiekłą swe serce drgające oblewa.

Lecz czyta w Przeznaczeń księdze!
Na szali szczęście przeważa,
Poklaskuje swej potędze,
Zwycięzcy zgubą zagraża.

Stało się — pada w przepaść co było na szczycie!
Rycerz co za swemi stopy,
Ciągnął połowę Europy,
Na drugiej połowy podbicię,
Rycerz co lądy i morza zdziwione,
Zwycięzką ręką przemierzył,
Co już w Kremlinu mury ostygnione,
Groźnym orężem uderzył,
Z gniewem poznaje zmienione nadzieje,
Próżno ufa swym losom, próżno ufa sobie,
Szczęście jego na Moskwy zwaliskach się chwieje,
I gdzie miało tron znaleść, tam upada w grobie.

Ow rycerz niezrównany raz pierwszy uchodzi,
Przyszłość, nadzieję ziemi, i swą wielkość zwodzi.
A oręż jego który świat ze drżeniem,
W równi z piorunami liczył,
Bohatéra ocaleniem,
Swą potęgę ograniczył.

Jeszcze jednak Bohatér swej władzy niezmienia,
Sławą swojego imienia,
I dawną wielkością zbrojny,

Nieraz wstrząsnął losem wojny,
Lecz, by przyspieszył zagładę,
Los przywołuje zdradę,
I z nią się podle sprzymierza.
Z nieprzyjacielem przyjaciel razem,
Świętokradzkim napada żelazem,
Na zdradzonego rycerza.

Ale cóżto za naród, co przy jego boku,
Sam jeden dotrzymał kroku?
Jakichże to szczątek ludów?
Co wśród wierności i męztwa cudów,
Na śmierć w obronie bohatéra leci.
Jakiejże to ziemi dzieci?
Co łączą wielkość duszy z Marsową postacią.
Niewolnik... jam niegodny nazwać ich mą bracią!
Są to jednak synowie jednej zemną matki,
Są to wielkiego rodu ostatki.
Rodu co przez nieszczęścia i zdradę,
Widział ojczyzny zagładę,
Lecz dla niej umiał jeszcze żyć i w grobie!
Poznały podłe tyrany,
Że lud wolny skrępowany,
Nieprędko może zapomnieć o sobie.

Wkrótce naród uciśniony,
Ramieniem bohatéra z grobu podźwigniony,
Wznosi ukuty z kajdan oręż obosieczny.
Już się do swiata przeznaczenia miesza,

Już swym wrogom niebespieczny,
Nad drżącym karkiem zemstę im zawiesza.

Tak w łonie ziemi burza zawarta,
Granitami przywalona,
W niewoli swojej nieskona,
Ale w zapędzie o ściany rozparta,
W tysiąc sprzecznych wiatrach wieje,
Walczy z okropném więzieniem,
Napełnia je strasznêm drżeniem,
I przelękłą ziemię chwieje;
Niechże odwali ciążące sklepienie,
Czcze pierwej wiatry i próżne pary,
W iskrzące zmienione płomienie,
Z czarnej buchają pieczary.
A roztopione skały,
Srogiej niewoli narzędzie,
Leją w szalonym zapędzie,
Na świat struchlały.

Lecz próżno Muzo wzbijasz się zuchwała,
Zbyt wysoką dla ciebie jest Polaków chwała,
Otóż i teraz ziemia zdziwiona,
Brżmi nowym cudem ich męztwa,
Dźwigać nieszczęścia Napoleona,
Jest wyższem nad dawnę zwycięztwa.

Pierwszy wpośród narodu z odwagi i cnoty,
Poniatowski Polaków chwały nieodrodny,
Rycerzom przywodzić godny,
Ogniem którym sam gore, zapala swe roty,

Już Elstry zajęły brzegi,
Tchnące rospaczą szeregi,
Za niemi w przestworze,
Zdolne pół świata pochłonąć,
Łało się nieprzyjaciół morze.
Lecz czyż Polak bez sławy umie kiedy tonąć?
Poniatowski niezlękłém okiem tłum przemierza,
Gotów zwycięztwem albo zgonem słynąć,
Na niosących śmierć wrogów, śmierć niosąc uderza.
Wie, że gdy zgonu niepodobna minąć,
Dla ginącego słodko jest rycerza,
Z nieprzyjacielem ginąć.

Więc jako orzeł z dziećmi wzlatując do góry,
Kraje skrzydłem gromami trzaskające chmury,
Tak on braterskie prowadząc roty,
Swym śladem drogę im znaczy,
Lecąc bezpieczny w rospaczy,
Na buhające działa, na świszczące groty,
W swoim zapędzie zdawał się być zdolnym,
Ciskać pioruny, i piorun odbijać,
Już Niebo zdało się sprzyjać,
Rycerzom wolnym . . .

Zawsze na swych braci czele,
Wódz i żołnierz w jednem dziele,
Gardzi niebezpieczeństwem które wszędzie sieje,
On nieżąda grobu minąć,
Chce tylko zemszczonym zginąć,
Chce nagrodzić krwią obcą, krew którą sam leje.

Już z garstką rycerzy mężnych,
Cofa pęd tłumów orężnych,
Tyle może. . . kto w śmierci położył nadzieję;
Niestety! próżne cuda, daremna odwaga,
Tłum nieprzyjaciół nad męztwem przemaga,
Poniatowski krwią oblany,
Ukrywa przed swą bracią ciężkie swoje rany.
Jedną tylko ma bojaźń, z pola bitwy schodzić,
Jedno życzenie, braciom do śmierci przywodzić.
A choć śmiertelne uczuł już blizny,
Choć był w samym śmierci progu,
Przysiągł on, przysiągł że sławę ojczyzny,
Samemu tylko w ręce odda Bogu!

Przysiągł! i falom Elstry życie swe powierzył,
Próżno grot zgubny zwiększając potęgę,
Potrzykroć w jego serce uderzył,
On trzykroć świętą powtórzył przysięgę,
Po raz ostatni, jeszcze westchnął do Ojczyzny,
Jeszcze oręż swój podniósł, i znikł wśród głębizny. . .

Idź droga niedobitków reszto pozostała,
Idźcie gdzie was prowadzi i męztwo i chwała,
Idźcie, gdzie jest nadzieja, lub gdzie rospacz wreście,
Idźcie, i gdy Bóg zechce, szczęście nam przynieście,
Idźcie, niechaj was nadzieja mami,
Lecz głos mój słaby niepójdzie za wami,
A mą lutnią dla waszej nastrojoną chwały,
Rozbiję o Elstry skały.

Tu po wielkim Polaku smutnie się zakwilę,
Tu zakrwawi me serce okropne wspomnienie,
Tu głos mój tłumiąc, po smutnej mogile,
Roztoczę w czarnym smutku gorżkich łez strumienie.
Cieniu Poniatowskiego! cieniu ukochany,
Daruj że wzruszam te święte mogiły,
Twej chwały głośnej światu ja śpiewak nieznany!
Lecz opuść ziemię wrogów, przyjdź w kraj tobie miły
Ach patrz, jak Zamojskiego, Żółkiewskiego cienie,
Wołają, równe twoim pokazując blizny,
„Chodź wodzu jedno z nami podzielić schronienie,
W obronie jednej z tobą legliśmy ojczyzny."

Lecz gdzież mnie żal unosi; kto poszedł na zgubę,
Wśród nieprzyjaciół oręży,
Ten w śmierci znajdzie i życie i chlubę.

Braciom mogiła nie cięży,
Sławę Poniatowskiego uświęcą potomni;
Że przodek Jego dostąpił tronu,
Wiek przyszły o tem zapomni.

Dla jego sławy, dosyć jego zgonu...
Z króla który spokojnie utracił koronę;
Promień zaszczytu na Tego niespłynął,
Co za wolności obronę,
Z orężem w ręku i walczył i zginął.

Patrzcie, sam nieprzyjaciel chlubny z naszej straty,
Wznosi grób jego kościom, i sypie mu kwiaty.

A śmierć jemu zadając, i cząc go w pogrzebie,
Dwakroć uwiecznia siebie.

Ale cóżto za żołnierz w świetnej jeszcze zbroi,
Na świętym grobowcu stoi?
Poniatowski niezemszczon . . . A on z mieczem żyje,
I dla wodza swojego pomnik tylko ryje.

Rycerzu! czyż z samego napisu chcesz słynąć,
Czyżby nie chlubniej było,
Gardząc wrogów swoich siłą,
Walczyć jak Poniatowski, i tak jak on zginąć.

Ah! czemże my dopiero, my lud ponękany,
Czemże pocieszem cienie niezemszczone,
Oczy tylko ku niebu podniesiem zroszone,
Oczy... bo ręce ciężkie krępują kajdany.

Ty którego prawica światem wstrząsać może,
Co umiesz z grobu dźwignąć i pogrążać w grobie,
Naddziadów naszych potężny Boże!
Mścij się za wiernych tobie.
Po zaburzonym ziemskim padole,
Na skrzydłach Cherubinów roześlij twą wolę,
Lub sam Boże mścicielu w twojej groźnej mocy,
Zstąp rozdzierając cienie strasznej nocy.
Zstąp tysiącznemi otoczony słońcy,
Uzbrój piorunem oręż wolności obrońcy,
Niech ten co walczył pod twojem imieniem,
Po ukończonej Polaka żałobie,

Chociaż śmiertelnym okryty cieniem,
Niech się i w ciemnym rozraduje grobie.

Bo cóż choć płaczem zalewamy oczy,
I że łza drżąca po więzach się toczy,
Niegodne bohatéra łzy kóre dziś ronim,
A wtenczas tylko uczuję ulżenie,
Święte Poniatowskiego cienie,
Kiedy już wolna Polska będzie płakać po nim.



WIADOMOŚĆ.

O podróży odbytej wewnątrz północnej Afryki.

We względzie naukowym.

Jeden z najznakomitszych uczonych XVI. wieku, był bez wątpienia Mikołaj *Clenard* wsławiony najbardziej głęboką znajomością: Greckiego, Hebrajskiego i Arabskiego języka. Na Uniwersytecie w *Löwen* ukończył nauki, i wcześnie wyćwiczony w tem wszystkiem, czem człowiek może sobie zjednać sławę u świata, udał się w podróż do czego od młodości miał ochotę nadzwyczajną. Zbyt wcześnie umarł w Grenadzie 1542. w 46 roku życia.

Ten znamienity mąż zostawił nam wiadomości o podróżach swoich w łacińskich listach, które pisał po większej części do dawnego swego nauczyciela Jakóba *Latomus*.

W pierwszej podróży zwiedził Francją. „Dwa lata (mówi on) przepędziłem w Paryżu, a jeszcze nie mogłem się w tym mieście rozpatrzyć. Właśnie wtedy powrócił *Franciszek* I. z niewoli Hiszpańskiej i za-

chcęcał nauki na dworze swoim." *Clenard* udał się z tamtąd do Akwitanji. „Cóżto za kraj który się aż do Pireneów rozciąga! Ale zwiedzając Biskaję, przekonałem się o prawdzie tego przysłowia: że we Francji chcąc niechcąc pieniądze tracić trzeba koniecznie, w Hiszpanji mimo najlepszej woli niemożna. W tym to kraju nauczyłem się pościć! Pewnego razu w jednej gospodzie dano nam wszystkim gościom jedną szklankę, i gdy i tę stłuczono, trzeba się było chwycić Diogenesa metody."

W Salamance wezwano naszego podróżnego do zajęcia się wychowaniem syna Wice-Króla Neapolu. Udał się więc do Madrytu, i wszędzie stósowne do zasług swoich znalazł przyjęcie. Panował wtenczas Karol V. Rok cały zabawił *Clenard* w stolicy Hiszpanji, po czem zrzekł się swoich obowiązków, i wrócił do Salamanki, gdzie mu się lepiej podobali tamtejsi Akademicy, niźli dworzanie w Madrycie.

Chęć zwiedzania różnych krajów, zaprowadziła go do Portugalji. „Przybywszy do tego małego królestwa (mówi on) zdaje się żem przybył do Państwa czartów. Wszyscy służący są Maurowie. A potem jaka nieczystość w domach. Z resztą jest to prawdziwie kraj złota. Wiedzą o tem Francuzi i nigdziem ich więcej jak tu niewidział. Jednakże bez ich znajomości podobnobym w tym kraju niewytrzymał."

Król Portugalji powierzył Clenardowi wychowanie swego brata. „Z biednego studenta (pisze on) stałem się wielkim Panem. Mogę teraz błyszczeć jak inni na Balach i Turniejach, bawić się, polować, i nic nierobić. Przecież tak jestem nierozsądny iż unikam tych wszystkich rozrywek, i nawet brata mojego od nich wstrzymuję. Wśród tej wielkości tęschnę często do dobrych profesorów Salamanki. Sądźcież więc moi przyjaciele w *Lowen*, jako za wami muszę czuć tęsknotę. Gdybym niebył tak oddalonym od ojczyzny, byłbym szczęśliwy. Dziecię moim staraniom powierzone kocha mnie. Z żalem przyjdzie je opuścić. Dziecię to pochodzi ze krwi wielkich królów ze krwi rycerzy którzy walcząc z dumą Hiszpanów, z pogardą wszelkich niebespieczeństw, do Etjopji wtargnęli, kanał Mozambiku zwiedzili, i krańce ziemi podbili. Ale niestety, mojego młodego księcia zawcześnie z tą chwałą oswojono. Już chwała niebędzie jego żywiołem. Zawcześnie obudzono w nim ten swięty zapał! Kiedy przyjdzie czas do działania, dusza jego zdolna może od natury do objęcia wszystkiego z największą mocą, będzie już zimną. Któryż syn wielkiego króla, otarł łzy poddanych ojca jego opłakujących. Przed mojem przybyciem niewiedział mój młody książę że jest nieszczęście na ziemi. Odebrałem go z rąk miękkości otoczonego pochlebstwem. Cóż wtenczas pomoże męzki głos prawdy i surowej cnoty. Na co się zda

nasienie mądrości rzucone na pole tak zaniedbane, a może i zepsute? Przecież to jest moją powinnością."

„Trudno by uwierzyć jak leniwemi są tutejsi mieszkańcy. Do samego golenia trzeba trzech robotników. Ten który wodę ogrzewa, niemoże jej wylać na miednicę, a ten co miednicę trzyma, zbrodnią by popełnił gdyby się brzytwy dotknął, bo ten co goli, jest wielkim Panem, i wydaje rozkazy drugim, jak Gonzalw swym Jenerałom. Trudność pozbycia się brody wprowadziła powoli zwyczaj jej zapuszczania i ja może będę musiał nareszcie toż samo robić, i stać się podobnym do tych słodkich paniczów z których się w Paryżu tyle razy naśmiałem. Ah! widzę to że głupstwo jest powszechnym naszym udziałem, i skoro się sposobność nawinie, każdy będzie krakał z wronami."

„Nowe odkrycie w Indjąch zachodnich, powab złota, zepsucie obyczajów i inne przyczyny sprawują w Portugalji nadzwyczaj prędkie powstawanie i upadanie majątków. Ciągle ważą się się te dwie ostateczności. Wszystko to utwierdza mnie w zasadach z czytania czerpanych. Nigdym złotem tak niegardził jak kiedy je posiadam. O moi przyjaciele, nigdym do was tak niewzdychał! Kiedyż was ujrzę drodzy Latomus i Blasius?"

Wkrótce powrócił *Clenard* do Hiszpanji. „Udałem się (są to słowa jego) do Braganza, i miałem trzech Negrów którym najpompatyczniejsze dałem nazwiska. Gdybyście mnie z memi kuframi i tłómokami widzieli, zapewne byście mnie wzięli przynajmniej za Karnała. Mimo tego moja Jaśnie Oświeconość bardzo źle została w Hiszpanji przyjętą. Nie znalazłem pożywienia ani dla siebie ani dla koni. Pan, sługa i zwierzęta wszystko położyło się na ziemi. Po jednogodzinnym spoczynku który niewart był nazwać się spoczynkiem, kazałem wyruszyć. Wsiedliśmy na konie i co chwila się potykali. Przecież dostaliśmy się na na drugi brzeg Tagu. Gdybym był królem dla pocieszenia się kazałbym powiesić gospodarza jedynego domu gościnnego, któryśmy znaleźli. Gdym go pozdrowił, nieraczył na mnie spojrzyć, na żadne pytanie niechciał odpowiedzieć, a za najnędzniejsze łóżko na noc jednę, musiałem zapłacić 20 Realów. Co krok, to mnie podobnież zdzierano, lubom dwóch Franciszkanów miał przy sobie, a może dla tego właśnie żem się pobratał z wielebnemi.

Przybywszy do *Braganza*, *Clenard* założył szkołę, a dowiedziawszy się że pewien Uczony Arabski jest niewolnikiem w Kastylji, postanowił go uwolnić i wziąść do siebie. „Smiejesz się zapewne zemnie (pisze do Latomusa) że mogąc żyć szczęśliwie i spokojnie, latam jak szalony po świecie, i że tyle się

męczę dla nabycia trochę nauki. Ale cobyś na to powiedział przyjacielu, gdybyś mnie widział jak w tym celu jedynie, pnę się na najwyższe góry i przepaści; rozbójników, śmierć samo mniej ważę. Ale ci co za czerwonym kapeluszem się ubiegają, czyż nie więcej się męczą. Jedno szaleństwo za drugie. A ja z moim szczęśliwy."

Znalazł owego Araba, wykupił go, i bawił przez niejaki czas w Grenadzie, dla wyuczenia się języka wyzwolonego przez siebie uczonego. Tu poznał się z Kardynałem *Burgos*, który mu kilka Maurytańskich rękopismów darował, a nawet postarał się u Cesarza ażeby nakazał Inkwizycji wydanię Clenardowi pism które Maurom zabrała. Vice-Król Grenady wymagał po nim ażeby napisał książkę przeciw religji Machometańskiej, która pomimo Stej Inkwizycji, wielu jeszcze miała zwolenników w Hiszpanji. Clenard przeszedł ze swoim Arabem księgi święte Alkoran i Suna, i miał plan oboje przetłómaczyć i zbijać. W tej myśli przedsiewziął drogę do Afryki, i udał się do Gibraltaru. „Wielu Chrześcjan (pisał on do swojego przyjaciela) pisali przeciw religji Machometa. Ale Czyliż Łacińskie rozprawy mogą obchodzić Arabów? Co za wstyd że przez tyle wieków nieznalazł się nikt pomiędzy nami coby mógł skutecznie walczyć z mędrcami Arabów. Otóż ja się muszę z niemi spotkać. Jestem już doskonałym Arabem, i uda-

ię się do Fez. Wiesz że to miasto jest dla Afryki tem, czem Paryż dla Francji. Od tego czasu już niemam chwili spokojnej. Płonę chęcią czerpania w samym źródle zasad Mahometa. Co ja dopiero będę miał do opowiadania kiedy powrócę? Już od trzech tygodni jestem w Gibraltarze. Przeciwne wiatry zatrzymują mnie tak długo, choć w cztery godziny mogę się dostać do Afryki. Udam się do Ceuty gdzie Portugalczycy mają Garnizon. Od jedenastu lat są w przyjaźni z królem Fez. Spodziewam się przeto że w tym kraju niebędę się miał czego obawiać.

„Opuściłem (pisał dalej) na Wielkanoc roku 1540 Europę, i chciałem choć raz jeszcze słyszeć *Alleluja* na naszej ziemi, jeżeli mi już Bóg powrotu nieprzeznaczył. Morze było tak burzliwe, iż ten wiersz Wirgiljusza:

Praesentemque viris intentant omnia mortem.

nie potrzebował dla mnie żadnego komentarza. — Przez dwie godziny niesłyszałem jak tylko krzyk pomięszany majtków i ich przełożonych. Nie będę się tu próżno chlubił. Zimny pot na mnie wystąpił, i umierałem z przestrachu. Prócz tego podpadłem morskiej chorobie, i rozumiałem że już z okrętu nie zejdę. Wilhelm mój służący płakał i wołał: „Ah czemużem ja niewstąpił do klasztoru. Jeżeli kiedy na ląd powrócę, niepostanie już noga moja na

okręcie, choć by mi dawano i Kanonję Antwerpskę."

Francuz który przeprawiał się z nami, domęczał nas ciągłemi żartami, które bez względu na wszelkie niebezpieczeństwo z ust jego płynęły. „Cieszę się bardzo (mówił) że choć raz w życiu widzę tak piękną burzę. Jeszczem się nigdy z nią niespotkał. Mieszkaniec Ceuty dodał, że choć często z Afryki do Europy się przeprawiał, jeszcze nigdy podobnej niepogody niedoświadczył. Pewien Portugalczyk żegnał się bez końca. Dowódzca okrętu wywoływał wszystkich świętych. W śród powszechnego zamięszania, fala wyrzuciła nas wreszcie na dzikie nadbrzeże, na którym ledwie kilka ostryg na pożywienie znaleść mogliśmy. Mieliśmy jeszcze milę do Ceuty, ale trzeba było czekać, aż się wiatr uspokoi. Francuz i mieszkaniec Ceuty, przedsięwzięli pieszo udać się do tego miasta. Wszyscy podróżni poszli za ich przykładem. Ja wolałem czekać na wiatr, ale narzekaniem i płaczem mego służącego zniewolony, przyłączyłem się do większej liczby.

„Już przebyliśmy część pustyni (pisze dalej Clenard) Obróciłem się i smutnie spojrzałem na okręt gdzieby mi daleko lepiej było. Wreszcie ujrzałem jak odbijał od brzegu. Zacząłem się piąć na górę. Długa suknia, ostre kamienie, przestrach, nieznośnym mój stan czyniły. Musiałem stanąć, podparłem się

długo dzidę którą mi w rękę wetkano na przypadek napadu, z ciężkością ją dźwigałem, bo ledwo sam nogi wlec mogłem. Ah jak brzydką zdała mi się Afryka. Drżałem o moje skarby które zostały na okręcie. Wreszcie przybyliśmy do Ceuty, wkrótce i okręt za nami. Odetchnąłem na nowo, zapomniałem o wszystkich troskach, dawna gorliwość ożyła we mnie.

„Cztery dni zabawiliśmy w Ceucie. Było właśnie święto Ramazan: Maurowie uważali mnie za jakąś osobliwość, niemogli pojąć co mnie skłoniło do uczenia się ich języka, i jechania tak daleko aby poznać ich obyczaje. Vice-Król Grenady mocno mi zalecił abym żadnemu żydowi ani Mahometanowi w tym kraju nieufał. W skutku tej rady tak sobie postępowałem z każdym, iż mnie raczej kochać niż nienawidzić powinien. Grzeczność Francuzką, starałem śię połączyć z prostotą Flamandzką. Nadto Arab mój nauczyciel któregom w Kastylji uwolnił, opowiadał swoim rodakom że się starałem nieszczęścia jego osłodzić. Głośno oświadczałem żem przybył do Afryki dla nauczenia się języka Arabskiego, i dla zakupienia ich książek i rękopismów, dodając że wszystkie języki znane są w Europie oprócz tego jednego, i że ja na to obrany zostałem od uczonych ażebym sławę tego języka zaniósł na naszą ziemię; prosiłem więc każdego ażeby chciał wspierać usiłowania moje.

„Gdy mnie się zapytali o religją, odpowiadałem iż nieprzybyłem sprzeczać się z nimi, ale uczyć się od nich. Często przywodziłem im miejsca z Alkoranu, czem sobie ich wiele ująłem. Wszyscy cisnęli się do biednego Flamandczyka, którego tyle kosztowało po Arabsku czysto mówić i pisać. Wielu rozumiało że jestem przebranym uczonym Arabskim. Gdym przybył do Fez poznano mnie z najuczeńszym mężem całego państwa. Zadawał mi tysiąc pytań podstępnych, na które z ukontentowaniem całego zebranego towarzystwa odpowiadałem. Drogi Latomus! nie piszę tego do ciebie z chełpliwości. Znasz mnie, kochasz mnie, tobie wszystko mogę powiedzieć.

Clenard przybył w Maju 1540 roku do Fez — „Fez jest wielkie miasto (pisze on) przy wolniejszym czasie zastanowię się nad niém. Teraz mam mówić o czemś ważniejszem. Przedstawiono mnie królowi i długo z nim po Arabsku rozprawiałem. Przed mojém przybyciem już był uwiadomiony o celu mojej podróży i dał mi kartę bezpieczeństwa. Z dobrocią rozmawiał ze mną, chwalił mnie, i robił mi tysiąc obietnic. Poznałem był w Grenadzie Maura znakomitego rodu i wielkich znajomości. Król mnie prosił abym mu wolność wyrobił. Przyrzekłem; lubo w myśli chęć miałem wzięcia go z sobą do Löwen. Król za to pozwolił mi ile razy zechcę, wolnego przy-

stępu do siebie. Często używałem tego pozwolenia i nawet raz prosiłem go o pozwolenie wzięcia owego Araba z Grenady do Löwen. Zezwolił i na to. Ci królowie Afrykańscy są zawsze tak ujmujący i grzeczni, jak dawni władzcy Grenady."

To szczęśliwe położenie niedługo jednakże trwało dla naszego podróżnego. Wkrótce potem napisał: „Cóż mi za to dacie moi przyjaciele gdy was nauczę Alkoranu? Wiedzcie przecież że nabycie tego skarbu, wiele niebespięczeństw kosztuje. Z początku dziwiono się tu nademną, ale podziwienie jest bardzo zimnem uczuciem, i trwa niedługo, a ustając wzbudza żywsze poruszenia przyjaźni lub nienawiści. Co do mnie, zrobiono mi wielki zaszczyt zazdroszczenia mi. Mówiono: „Ten uczony jest Chrześcjanin, który zapewne nie w dobrej myśli tu przybył, ale myśli zapewne Proroka wybadać i szkalować.

„Odtąd skoro żądam jakiego objaśnienia, wszyscy milczą. Prócz tego tutejszy język, nie jest czystą mową Arabską. Jest to djalekt tak różny od mowy pisanej, jak język Demostenesa od języka terazniejszych Greków. Dobrze po Arabsku mówią tylko w szkołach, a w szkołach to najbardziej mi nieufają.

„W Fez niemasz księgarni, ale co Piątek jest targ na ksiązki i rękopisma przy wielkim Meczecie.

Chciałem sobie kupić komentarz do Alkoranu, ale znalazłem tylko dwa exemplarze. Jednemu brakowało poczętku, drugiemu końca. Musiałem więc od jednego wzięć głowę, od drugiego nogi, i takim sposobem skleiłem sobie pewny rodzaj dziwotworu. Sę tu w prawdzie niektóre księgarnie które i Chrześcianom odwiedzać wolno, ale pod warunkiem żeby się poddali niektórym przepisom Wiary Mahometa. Nie jestem ja znowu zapamiętałym miłośnikiem Afrykańskim, wolę wrócić do moich kochanych rodaków. Król pozwolił mi wzięść kilka książek z tych bibljotek, ale ja nieufam królom tego kraju, gdzie już dawno nauczyło doświadczenie co to jest W i a r a P u n i c k a. Za prawdę, sam król niestraszy mnie tak jak inne dwunożne zwierze, które ma wielkie wpływy, i każdemu Intrygantowi chętnie nadstawia ucha. Ten niegodziwy uważa mnie i jak cień wszędzie za mnę się włóczy. Obawiam się rzetelnie żeby mi nieprzyszło złożyć prochów moich obok ostatniego z Katonów. Daj Boże uniknęć tego zaszczytu!

„Mógł bym wam jeszcze wiele opowiedać, ale muszę sobie coś na powrót zachować, kiedy zasiadłszy przy stole wpośrodku moich przyjaciół, jak to tylu uczciwych ludzi robi, za życzliwe wasze dla mnie chęci bajkami będę wam płacił.

„Czy uwierzycie żem niedawno widział Mahometa, to jest jego obraz, ale najpodobniejszy. Od stóp do głów tak jest wierny, że wszystkie włosy w

w brodzie porachować można, i ja sam rozpoznałem owe 14 włosków które były innego koloru. Malarz widział we śnie Proroka a wedle tych słów jego: „*Kto mnie widział we śnie, widział mnie w rzeczywistości, bo szatan niema władzy odmieniać moich rysów, i niszczyć mojego podobieństwa.*” widział go istotnie.

„U Maurów między ktoremi żyję, wiele jest niedogodności ale przynajmiej dwóch naszych niemajǫ: katów i lekarzy, i dla tego dłużej od nas żyjǫ. Nie masz także Adwokatów, przeto procesa w Afryce sǫ rzadkie, a nawet jeśli się trafią, w chwili sǫ rostrzygnięte.

„Ale kobiet daleko tu jest więcej. Sam król ma ich do dwóchset. Niewzbudzajǫ przecież tak mocnej żǫdzy. Helena by tu zapewne dziesięcioletniej wojny nieściǫgnęła, i Clenard dla miłości tutejszych bogiń, nieopuściłby na lat ośm ojczyzny swójej.

„Inaczej tu leczǫ choroby niż u nas, gdzie Sofistowie sztuki lekarskiej, z wszelkǫ powagǫ podług przepisów swoich umierać nam każǫ. Tu środki leczenia sǫ wszystkim znajome i najprostsze.

„Mahometanie idǫ za tym prawidłem Ewanielji: „Nie myśl o dniu jutrzejszym.” ale za to majǫ stałość i męztwo, której żadna przeciwność zgiǫć niemoże. Nieznajǫ przekleństw, nie sǫ gniewliwi, i w najniepomyślniejszych wypadkach nic innego niewyrzeknǫ jak tylko: „Niech Bóg będzie pochwalony.”,

„Zakończmy wreszcie ten długi list. Piszę wam to wszystko pod panowaniem Mahometa. Powzięto tu osobliwe na mnie podejrzenie, niektórzy mają mnie za Chrześcjańskiego Proroka. Obyłbym się bardzo bez tego zaszczytu, bom go raz ledwie życiem nieprzypłacił. Twój uczeń kochany Latomus ledwo niebył ukamienowany. Tylko za pomocą wiernego niewolnika uszedłem, i teraz już prawdziwie myslę o odwrocie. Dość długo włóczyłem się po świecie, moje włosy zaczynają siwieć i przypominają że czas wrócić do ziemi swych ojców. Zobaczę więc was wszystkich moi nauczyciele, moi towarzysze!

„Mamy tu wojny których wy niemacie. Wczoraj całe niebo okryło się szarańczą, która już to wznosiła się w powietrze już osiadała na ziemi, słowem przestraszyła wszystkich. Krajowcy idą w prawdzie i mile walczą z nią, lecz cóżto pomoże kiedy noc jedna może ich całego solnego plonu pozbawić. Wozami sprowadzają tę pobitą szarańczę. Maurowie ją jedzą, lecz ja niejestem tak wymyślny, wolę jedną kuropatwę nad dwadzieścia sztuk szarańczy.

„Bądź zdrów! Wkrótce puszczam się do Grenady z tamtąd wracam do Portugalji, a z Portugalji prosto do was."

List ten pisany dnia 9 Kwietnic 1540 jest ostatni który Latomus odebrał. Clenard pisał i do innych przyjaciół listy pełne dowcipu i żywości. Zapewne wkrótce potem wrócił do Hiszpanji, ale we dwa lata umarł w Grenadzie, a żadna z prac jego we względzie Orjentalnego języka wydrukowaną niezostała. Rękopisma dostały się Janowi Perez V a l e n c y n.

Słowo Szarady pierwszej w przeszłym Numerze umieszczonej jest, Po-zdrowie-nie. drugiej: Da-łeki.